

Nie wiem, może to jesień sprawia, ten bezrozumny smutek narastający z wolna w rytm opadających liści, a może płyta, której słucham, dość że zawsze wtedy, jesienią, mimo że tyle już ich przeminęło od tamtej pory, wraca do mnie pewna historia... Historia właściwie bez końca, chociaż zakończona.

Z zakamarków umysłu napływa wówczas szereg obrazów – barwa głosu, gesty, słowa, Mahalia śpiewa Jericho, a ja sięgam w głąb szuflady i wśród stosu fotografii szukam tej jednej – przedartego na wpół zdjęcia, z którego wychyla się lekko czyjaś postać o znaczącym uśmiechu, wysuwając nogę w spodniach pamiętających jeszcze moje ciepłe palce.

Wycięty z przestrzeni patrzy na mnie ktoś o chłopięcej twarzy, a przekora, jaką emanuje ta nadal świeża mimo upływu lat fotografia, sprawia, że zastygam na chwilę, a potem zaczynam odczuwać pragnienie, by zmieścić w słowach, odtworzyć i raz jeszcze przeżyć pewien rok.

Dziwne, jak trwała jest ludzka pamięć. Wystarczy chwila nieuwagi, jakaś melodia, zapach, widok trzepoczących na wietrze liści, czy nawet bardziej błahy jeszcze czyjś gest, uśmiech albo samo zmrużenie powiek, a w obcych twarzach, obcych słowach i miejscach, gdzie nawet nigdy nas nie było, odnajdujemy tylko, że trudno potem wtłoczyć to znowu w zamknięte archiwum. A jeżeli nawet udaje się, bo zawsze musi się udać, by móc żyć nadal, na dziś i na jutro, to jednak lekkie ułucie w okolicach serca, przelotny skurcz czy bezwiedne drgnienie palców uświadamia nam, jak żywe jest jeszcze wszystko, co pamiętamy, i jak chętnie by powróciło, gdyby tylko otworzyć furtkę i nie bać się przeszłości.

Nie bać się pytań bez odpowiedzi, słów kiedyś powiedzianych, nieprzemyślanych czynów, i móc raz jeszcze odtworzyć zdarzenia spływające cienką strużką z przesuwanych przed oczyma krajobrazów wspomnień. Tak, jakby włączało się płytę, i słuchało w milczeniu.

Sięgam w głąb półki, pod palcami czuję gładkość nawoskowanego papieru, szeleści koperta i po chwili zaczyna wirować stary plastikowy krążek. Z delikatnych akordów wysnuwa się opowieść, a ja wracam do czasu, gdy po raz pierwszy usłyszałam Adagio i trwam jak wówczas – w zasluchaniu.

*Tu przychodzi się
z własnym niebezpieczeństwem.
Henri de Montherlant – Don Juan*

Adagio

Było to dawno temu, podczas Świąt Bożego Narodzenia któregoś roku. Przebywałam wówczas w domu, jak zawsze zresztą podczas każdych ferii, całkowicie pogrążona w spokojnym błogostanie świątecznego stołu i rozkoszy niemyślenia o niczym. Świąta dobiegały właśnie końca i tego wieczoru bezpieczny półmrok pokoju w świetle słabo połyskującej choinki sprawiał dziwne wrażenie czasu oderwanego od rzeczywistości. Zagłębiając się w fotelu, nieuważnie i bez zainteresowania oglądałam jakiś program baletowy nadawany przez telewizję, gdy nagle uświadomiłam sobie, że z coraz większym skupieniem zaczynam przysłuchi-

wać się muzyce dobiegającej z odbiornika.

Ta smutnie niepokojąca melodia prowadzona przez wysokie, przejmujące tony skrzypiec, zafascynowała mnie do tego stopnia, że pragnąc, by nigdy się nie skończyła, z niecierpliwością wyczekiwałam jednocześnie na moment, gdy po ostatnich akordach delikatnym, stylizowanym pismem ukaże się tytuł i nazwisko kompozytora.

Albinoni – przeczytałam na tle barokowych dekoracji.

Adagio roz płynęło się, zatarto gdzieś w podświadomości.

Mijały miesiące, może lata, nie liczyłam czasu.

Od dawna żyłam już w innym mieście. Skończyłam studia i Pani, u której wynajmowałam pokój, przeprowadziła się do nowego mieszkania, zabierając mnie z sobą. W ten właśnie sposób trafiłam na tamto nowo wybudowane osiedle, gdzie wszystko było podobne do siebie, domy wyglądały jak pudełka, a ludzie wiecznie się spieszyli.

Nie byłam wówczas jakoś specjalnie szczęśliwa. Nagła przeprowadzka spowodowała oddalenie nie tylko w sensie odległości od miejsc, z jakimi czułam się związana, lecz także od ludzi, a w tym od – nie wiedziałam, czy już nie byłego chłopca, z którym od pewnego czasu zaczęłam mieć coraz więcej problemów. Wszystko zawisło w próżni, a brak planów i nie-pewność sprawiały, że wołałam nie myśleć o przyszłości, żyjąc tak, jak żyłam – z dnia na dzień i z chwili na chwilę. W pewnym sensie nawet – *man by man* – jak śpiewała Liza Minnelli, z czego bynajmniej nie robiłam sobie wyrzutów, gdyż każda iluzja pozwalała chociaż na chwilę nie pamiętać o sobie.

Samotność nie jest dobrym towarzyszem podróży przez życie, zwłaszcza gdy w pociągu, którym jedziemy, z każdą stacją ubywa pasażerów, a nikt nie dochodzi. I faktycznie, gdyby nie Mona, czułabym się tak, jakbym sama siedziała w przedziale. Przypadek sprawił, że sprowadziła się naprzeciwko. Była żoną znajomego z uczelni, który po otrzymaniu mieszkania ściągnął ją z dzieckiem do siebie, a potem zwyczajnie porzucił. W rezultacie sporo czasu zaczęłyśmy spędzać razem, zastanawiając się bezskutecznie, gdzie leży sedno naszych niepowodzeń życiowych. W inne wieczory jednak wołałam zamykać się w czterech ścianach swojego malutkiego pokoju, szukając ucieczki wśród książek, których kolorowe stopy zalegały stół i wszystkie meble, piętrząc się w stale narastającym zbiorze.

I tak czas leciał...

Od dwóch czy trzech lat przebywałam już wówczas na Wzgórzu, lecz mimo to nadal zupełnie nie znając sąsiadów. Mieszkania za jednakowo zamkniętymi drzwiami były obce i niezbadane, ludzie nieznanymi i pozostający w pełnym oderwaniu od nazwisk odczytywanych pobieżnie podczas wielokrotnych wędrówek po schodach, gdy machinalnie rejestrowałam w pamięci ich nic niemówiące brzmienie. Przywykłam do pustki.

Z wolna osiedle rozwijało się i wiatr przestał wzdymać tumany piaskowego kurzu. Powstały poprzecinane wąskimi wstęgami asfaltowych ścieżek przestronne zieleńce i trawniki, a nocą niebo było naprawdę blisko. I wtedy polubiłam nawet tamtejsze domy z ich galerią różnokolorowo oświetlonych okien. Często wieczorami spoglądałam na nie, zastanawiając się mimowolnie, kim są ci wszyscy ludzie, tam naprzeciwko, i jakie życie prowadzą. Czasem słyszałam odgłosy kłótni, a wtedy przyłapywałam się na myśli, że zazdroszczę im nawet tego.

A potem, pewnego dnia, Adagio zaczęło powracać.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Miladora, dodano 20.07.2010 08:19

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.